

# Kwadratura jazzu

Data publikacji: 8.11.2014 14:00

W Galerii Na Piętrze Cieszyńskiego Ośrodka Kultury Dom Narodowy oglądać można klimatyczne czarno-białe fotografie ukazujące muzyków jazzowych autorstwa Mariana Siedlaczka.

Wernisaż wystawy zorganizowano 5 listopada. Zdjęcia powstały podczas festiwali i koncertów jazzowych, również tych organizowanych w Cieszynie.

Autor zdjęć z wykształcenia jest... psychologiem klinicznym. Przez długie lata pracuje projektując materiały graficzne. Muzyka i fotografia natomiast to jego pasje. To właśnie ich połączenie oglądać możemy na wystawie w Domu Narodowym.

Podczas wernisażu o zdjęciach Siedlaczka mówił Jerzy Pustelnik z Cieszyńskiego Towarzystwa Fotograficznego, który od lat 70-tych łączy zainteresowania fotograficzne z jazzem.

**- Przede wszystkim gratuluję formy. Kwadrat. Tak się jakoś dzieje, doświadczam tego w Cieszyńskim Towarzystwie Fotograficznym, że wszyscy jakoś przywiązali się do prostokąta. Nie wiem, czy to jest wpływ reklam, które są prostokątne, czy ekranów telewizyjnych, czy monitorów. Ludzie nie mogą przemóc tego, żeby zdjęcie zrobić w jakimś innym formacie. A tu jest świetny przykład na to, jak te zdjęcia się znakomicie komponują** – zaczął Jerzy Pustelnik.

Stwierdził, że to, że zdjęcia są świetne, to widać. Natomiast on, jako że również od lat fotografuje muzyków jazzowych doskonale wie, że aby takie zdjęcia powstały, nie jest to łatwe i wymaga wiele zachodu. Nie tylko stricte fotograficznego. Zrelacjonował po krótkce, czego dowiedział się na konferencji na temat polskiego jazzu, na której poruszany był m.in. temat fotografii jazzowej. **- Pierwszy problem, to czy na koncert w ogóle wolno wnieść aparat. A jeżeli nie wolno, to co zrobić, żeby go jednak wnieść. A jeżeli już go wniesiemy, to gdzie się ukryć, żeby nas nie złapali. A jeżeli już nas złapią, to jak się wytłumaczyć. To czynniki organizacyjne. Teraz czynniki etyczno-moralne. Czyli fotograf robi zdjęcia jak grają. Niestety w pewnym sensie przeszkadza. Szczególnie, jak grają bez wzmacniaczy, koncert jest akustyczny, a tu nagle słyszymy trzas, trzas, trzas... Mało tego. Jeszcze często fotografowie mają taki zwyczaj, że po zdjęciu oglądają go. Wszędzie ciemno, a tu taka smuga światła** – wyliczał Jerzy Pustelnik wspominając, że kiedyś był świadkiem, jak jeden muzyk jazzowy, zresztą na tej scenie, w Domu Narodowym w momencie, jak jeden fotograf po raz kolejny nacisnął spust migawki, przestał grać.

**- Niedawno widziałem w telewizji relację z koncertu Jaromira Nohavicy, który w połowie przerwał koncert i podziękował panu fotografowi, że zrobił już mu około dwa tysiące zdjęć. Tak że naprawdę jest to pewien problem. Jeżeli fotografowie mają tę szansę, że mogą stanąć gdzieś z boku, wejść za kulisy, to sprawa jest prostsza, bo tego fotografa się nie widzi. Ale często takiej możliwości nie ma. Siedzimy więc wśród widzów i próbujemy coś zrobić. Często na koncertach jest powiedziane, że można robić zdjęcia przez pierwsze 10 min, albo podczas pierwszego utworu. No więc wszyscy robimy ile się da. Później już nie wolno. Ale wszyscy czekają na bis, bo, nie wiadomo czemu my, fotografowie uważamy, że bis to już nie jest koncert i można sobie robić na tym bisie do woli. Następną rzeczą to czynniki techniczne związane zarówno ze sprzętem i czynniki oświetleniowe** – wyliczał Jerzy Pustelnik. Na koniec dodał, że te wszystkie czynniki są ważne, ale często liczy się też łut szczęścia. **- Jestem zdania, że ten łut szczęścia jest niekiedy ważniejszy od tego wszystkiego, co powiedziałem** – podsumował.

Jerzy Pustelnik zacytował też uwagi, jakimi po obejrzeniu zdjęć podzieliła się z nim jego żona Karolina. Zwróciła ona uwagę na uchwycenie przez autora momentów, w których widać, że sfotografowani ludzie tworzą, są zaangażowani w tą muzykę, udało się to pokazać. Oboje bardzo chwalili wybór czarno-białej formy fotografii. **- Kiedyś kolega**

**powiedział mi, że genialne to proste. Prostota czarno-białej fotografii. Nic nie przeszkadza. I jeszcze jedno. Pomimo, że zdjęcia są „z tej samej bajki”, to są niesamowicie różnorodne. Jedno od drugiego się różni – zachwycał się kolega po fachu.**

Autor fotografii przyznał, że „szarańcza fotograficzna” na koncertach rzeczywiście jest plagą. – **A jeszcze gorsza jest szarańcza tabletowo-smartfonowa. Tym bardziej, że oni albo nie wiedzą, jak się tam wyłącza flesza, albo o tym nie pomyślą, i nie dość, że stoją na koncertach z tabletami w górze, to jeszcze cały czas im flesze walą... Okazuje się, że tym kapelom to coraz bardziej przestaje przeszkadzać. Przyzwyczaili się chyba. Natomiast na koncertach, jeśli pozwalają robić zdjęcia, to podczas pierwszego utworu. Ja w tym czasie zazwyczaj palę sobie papierosa gdzieś z boku. Bo ja lubię, jak muzyk jest spocony. Jak po nim widać już ten wysiłek niemal godzinnego dęcia w trąbę. I ja sobie wolę wyjść z tego papierosa pod koniec koncertu, jak oni już się ślaniają na nogach i kapie im z tych trąbek, saksofonów. Oni wtedy przestają kontrolować mimikę, jest większy luz i bardzo często już nas nie zauważają. Grają głośniej i nie słyszą dźwięku migawki. I chyba wszystkie zdjęcia, które państwo oglądają na tej wystawie, są zrobione właśnie pod koniec koncertu** – wyjawiał artysta. Sam również podzielił się kilkoma refleksjami technicznymi nawiązując do wprowadzenia Jerzego Pustelnika. Na pierwszym miejscu podkreślił, że nie wolno używać flesza i jak widzi kogoś z fleszem, to sam by go najchętniej wyprosił. Na koniec zaprosił przybyłych na wernisaż nie tylko do delektowania oczu obrazami, ale także podniebienia winem lub sokiem.

(indi)

